

Bałuk gada o latach 90.

Zapraszam na dziesięć podcastowych rozmów o szczególnej dekadzie w najnowszej historii Polski. Rozmawiamy o kulturze i sztuce – właśnie w latach 90. – z ludźmi, którzy w tamtym czasie ją współtworzyli, i z ekspertami, którzy patrzą na to po latach. Bo lata 90. to nie tylko kraina mojego dzieciństwa, ale też dosyć trudny i szczególny czas w historii. Rozmowy towarzyszą wystawie „Błysk, mat, kolor. Fotografia i Warszawa lat 90.”, którą do 19 lutego możecie zobaczyć w Muzeum Warszawy.

Kamil Bałuk: W podcaście dla Muzeum Warszawy przy okazji wystawy o latach 90. rozmawiamy z bardzo różnymi ludźmi. Mamy czasami fotografów, a czasami mamy gości, którzy nie są związani konkretnie z danym dziełem – w tym wypadku ze zdjęciami – ale tylko w tym aspekcie twórczym, bo z tym, co przedstawiają te fotografie już jak najbardziej tak. I tam jest (na wystawie) jedno jedyne zdjęcie, które mnie zainspirowało do tej rozmowy, która teraz przed nami. To jest zdjęcie trzech panów w białych koszulach i szelkach. To jest zdjęcie z samego początku w latach 90. tej nowej polskiej giełdy. Moim i waszym gościem jest Tomasz Prusek. Cześć, Tomku.

Tomasz Prusek: Dzień dobry.

Kamil Bałuk: Dziennikarz ekonomiczny czy jak się tytułujesz?

Tomasz Prusek: Publicysta ekonomiczny, dziennikarz finansowy, który pisał, pisze o giełdzie od początku lat 90.

Kamil Bałuk: To jest piękny czas na start kariery właśnie w tym kierunku, co?

Tomasz Prusek: Wszystko było wtedy niezwykle nowe, wszystko było wtedy absolutnie pociągające. Na naszych oczach tworzyła się nowa Polska, tworzyła się ekonomia 2.0, ekonomia kapitalistyczna – po tym siermiężnym okresie PRL-u, który nie był giełdą.

Kamil Bałuk: No tak.

Tomasz Prusek: Ponieważ giełda była synonimem kapitalizmu i jako taka na pięćdziesiąt dwa lata została wymazana z mapy Polski i z polskiej gospodarki. Ale na początku lat 90. wróciła, i to triumfalnie.

Kamil Bałuk: Ale to zacznijmy od takiej jakiejś prywatnej refleksji, bo ty rocznikowo się tak urodziłeś, że w sumie idealnie ten start kariery zawodowej przyszedł nie dość, że na przełom, na lata 90., to właśnie na moment, kiedy kapitalizm, czyli chyba, no nie wiem... Najważniejsza dla współczesnych ekonomicznych dziennikarzy czy publicystów... chciałem powiedzieć – doktryna, ale sama ta przemiana w ogóle, że kapitalizm zawitał, no... działa się przełomy. Czy ty byłeś na studiach wtedy, jak zacząłeś pisać, czy...

Tomasz Prusek: Byłem na studiach. Rozpocząłem studia dziennikarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1990 roku.

Kamil Bałuk: Ha!

Tomasz Prusek: Zatem na samym początku tego przełomu ekonomicznego.

Kamil Bałuk: No ładnie!

Tomasz Prusek: I zastanawiałem się wtedy, jako młody adept dziennikarstwa, czym się zająć. W jakim kierunku tą moją karierę dziennikarską rozpocząć. I trochę przypadek sprawił, że kiedyś wszedłem do jednego z kiosków, gdzie była prasa międzynarodowa i kupiłem tam taką łososiową gazetę.

Kamil Bałuk: Łososiową?

Tomasz Prusek: „Financial Times”. I pomyślałem o tym, że...

Kamil Bałuk: Czekaj, czekaj, bo to brzmi tak... A czemu kupiłeś ją?

Tomasz Prusek: Ponieważ wiedziałem, że w Polsce będzie rozpoczynała się giełda. Wtedy już się o tym mówiło, na początku lat 90., że giełda wróci. Nie było jeszcze wiadomo, kiedy rozpocznie swoją działalność, i chciałem zobaczyć, jak funkcjonuje giełda w mediach. I pamiętam, że na pierwszej stronie były informacje giełdowe w „Financial Times”. Kiedy otworzyłem taką wielką płachtę z notowaniami spółek, pomyślałem sobie: „Wow! Jak wielki to jest rynek!”. I wtedy zdałem sobie sprawę, że na początku giełdy w Warszawie będzie zaledwie kilka spółek notowanych.

Kamil Bałuk: Aha.

Tomasz Prusek: Ale moim marzeniem jest, aby była równie wielka strona z notowaniami, czyli aby tych spółek było wiele, wiele setek. I to marzenie się spełniło. Rozpocząłem pracę jako dziennikarz giełdowy na początku lat 90. i można powiedzieć, że towarzyszyłem tej giełdzie w jej najwspanialszych momentach, kiedy rozpoczynała swoją działalność, przechodziła przez różne, różne koleje.

Kamil Bałuk: No właśnie, bo te momenty to tak czasami nie były takie wspaniałe, szczególnie dla pojedynczych inwestorów.

Tomasz Prusek: No cechą giełdy jest zmienność.

Kamil Bałuk: Ha, ha, ha...

Tomasz Prusek: Więc taka sinusoida – hossy, bessy, rynki są cykliczne, którymi rządzą i emocje, i wielkie wydarzenia gospodarcze, które powodują, że inwestorzy albo zarabiają, albo tracą.

Kamil Bałuk: Ale jak przekonałeś redakcję, że ty to akurat ty będziesz się tym zajmował?

Tomasz Prusek: Nikt się na tym nie znał.

Kamil Bałuk: Aha.

Tomasz Prusek: To były bardzo charakterystyczne, że ta grupa dziennikarzy, którzy na początku lat 90. zaczęli pisać o giełdzie. To była grupa, która przyszła do redakcji i wiele stanowisk było pozajmowanych przez ludzi, którzy znali się na polityce, znali się na kulturze. Na gospodarce nikt się nie znał, a tym bardziej na giełdzie. Pojęcie akcji, obligacji było czymś zupełnie magicznym, niedostępnym. Jeden z moich przyjaciół, który był również wybitnym dziennikarzem giełdowym w Warszawie, w redakcji „Gazety Wyborczej”, powiedział, że trafił na pierwszą konferencję spółki giełdowej i potem w tej giełdzie został, ponieważ jeden z założycieli „Gazety Wyborczej” złapał go na korytarzu za rękaw, dał mu jakieś zaproszenie na kawałku papieru i powiedział: „Wiesz co, idź tam, bo nie wiadomo w ogóle, co to jest za spółka i, w ogóle, o co chodzi. Jakies akcje, jakaś giełda...”.

Kamil Bałuk: To było jeszcze przed tym, jak Agora weszła.

Tomasz Prusek: „Nikt nie chce na to iść, więc, młody, weź, idź na to”. Bardzo często takie początki były i one powodowały, że ci, którzy liznęli chociaż troszeczkę giełdy zachodniej, czyli wiedzieli, co to jest akcja, wiedzieli, co jest obligacja, wiedzieli, na czym polegają mechanizmy giełdowe – chociaż w najmniejszym stopniu. Oni stawali się tymi, którzy relacjonowali wydarzenia na giełdzie i współuczestniczyli w tworzeniu tego fantastycznego, niezwykłego rynku.

Kamil Bałuk: Dzisiaj będziemy mówić dla laików, także jak ktoś się już przestraszył i najeżył, że giełda, a w innych odcinkach rozmawialiśmy na przykład o fotografii, to spokojnie. Nie będzie tak strasznie. Wrócimy do lat 90. – to jest tu najważniejsze. Ale przyniosłeś jakieś niesamowite (dla mnie przynajmniej) świadectwa tego, co było kiedyś. Bo przez te wszystkie lata już stałeś się ekspertem też, rozumiem, historycznym od giełdy w Polsce, no to powiedz tak w kilku zdaniach... Bo to nie jest tak, że... oczywiście, forma się zmieniła, ale to nie jest tak, że w latach 90. po raz pierwszy się giełda w Polsce pojawiła.

Tomasz Prusek: Giełda w Polsce tak naprawdę ma już ponad 200 lat i związana jest od samego początku z Warszawą. Obracano papierami wartościowymi pod zaborami i w II

Rzeczpospolitej. Później, przez okres PRL-u, tak, jak powiedziałem, ta giełda została unieważniona przez komunistów.

Kamil Bałuk: Ale to znaczy, że po prostu zamknięto ją i...

Tomasz Prusek: Fizycznie.

Kamil Bałuk: Nic nie było.

Tomasz Prusek: I również tak symbolicznie budynek giełdy (przedwojenny), który znajdował się przy ulicy Królewskiej 14, przy Ogrodzie Saskim, on został kompletnie zniszczony podczas działań wojennych. Początki giełdy papierów wartościowych w Warszawie to Pałac Saski, który obecnie będzie odbudowywany. Można powiedzieć, że giełda mogłaby się z powrotem przenieść do Pałacu Saskiego z obecnej siedziby przy ulicy Książęcej 4, gdzie mieści się Centrum Giełdowe. Tam też, w Pałacu Saskim, ta pierwsza siedziba mieściła się przez ponad dziesięć lat. Później trafiła do gmachu giełdy i Banku Polskiego przy Placu Bankowym (róg Elektoralnej) – tam znajdowała się do 1876 roku. I wtedy właśnie władarze giełdy postanowili poszukać nowej siedziby, i tak trafili do budynku przy Królewskiej 14, przy Ogrodzie Saskim – budynku istniejącego już, o dosyć ciekawej historii. Wybudowany został jako... z przeznaczeniem na ujeżdżalnię.

Kamil Bałuk: Hm... czyli konie.

Tomasz Prusek: Czyli konie, ponieważ obok, w Ogrodzie Saskim, było to ulubione miejsce dla wyższych sfer, aby pojeździć sobie na koniach. Mieściły się tam różnego rodzaju instytucje, wcześniej kawiarnie, lodownie (nie mylić z lodziarniami).

Kamil Bałuk: Czyli co? – lodownie.

Tomasz Prusek: Przechowywanie lodu.

Kamil Bałuk: A.

Tomasz Prusek: Przechowywanie lodu dla celów spożywczych – to było w XIX wieku konieczne bardzo często, aby chłodzić. I ten budynek do roku 1939 był siedzibą giełdy w Warszawie.

Kamil Bałuk: I tu właśnie z tym '39 to na tych papierach wartościowych, które przyniosłeś, odbija się wielka historia. Bo rozumiem, że to, co tutaj mam przed sobą (szkoda, że to jest audio tylko), ale to są... bo to się nazywa obligacja. To obligacja wtedy to było równoznaczne z... akcją?

Tomasz Prusek: Z obligacją, z obligacją dzisiejszą. Obligacja to jest zaciągnięte zobowiązanie, dług, natomiast akcja jest to udział własności.

Kamil Bałuk: A, tu jest akcja, talon Faktycznie.

Tomasz Prusek: Mamy tutaj zarówno akcje, i to bardzo symbolicznej spółki – Banku Polskiego. To niezwykle ważna spółka w przedwojennej gospodarce polskiej oraz giełdzie w Warszawie, ponieważ przed wojną około 60% obrotów na warszawskiej giełdzie było generowanych właśnie na akcjach Banku Polskiego. Była to bardzo potężna instytucja. Te akcje przed wojną istniały w postaci fizycznej. Były pięknie wydrukowane.

Kamil Bałuk: Bardzo ładnie, tak.

Tomasz Prusek: Były papierami wartościowymi, co oddaje w pełni znaczenie tego słowa. Posiadały znaki wodne, były projektowane przez wybitnych grafików, plastyków i z tymi papierami wartościowymi przedwojennymi jest związane także takie powiedzenie, które weszło do języka i nieco oderwało się już od akcji i obligacji, mianowicie: odcinać kupony.

Kamil Bałuk: No właśnie. To bardzo mnie zaskoczyło – nigdy nie sprawdziłem tego. Ale jak mamy ten talon od jednej akcji Banku Polskiego, tutaj są kupony, i ten kupon to jest właśnie to, co dzisiaj nazywamy dywidendą, tak?

Tomasz Prusek: Albo dywidenda, albo odsetki.

Kamil Bałuk: I żeby nie przestraszyć ludzi – dywidenda polega w skrócie na tym (popraw mnie, jeśli błąd merytoryczny powiem), że mając akcje, to nie tylko jest tak, że kiedy ich wartość jest większa, możemy je sprzedać z zyskiem, ale są spółki, które wypłacają dywidendę, czyli taką jakąś nagrodę...

Tomasz Prusek: Udział w zysku, udział w zysku.

Kamil Bałuk: Udział w zyskach, jeśli dobrze idzie. Czyli trzymamy... to nie są oczywiście zwykle aż takie wielkie pieniądze jak przy sprzedaży po jakichś wielkich zyskach – inaczej: wzroście wartości spółki – tylko na zasadzie „cieszymy się, że jesteśmy akcjonariuszami, i dla tych akcjonariuszy wypacamy dywidendę”. To jakieś duże, stabilne spółki zwykle to robią (dzisiaj tak przynajmniej).

Tomasz Prusek: I taką spółką przed II wojną światową był właśnie Bank Polski. I kiedy weźmiemy do ręki taką akcję, to z jednej strony mamy jej nominał, mamy emitenta, a druga część tej akcji to jest właśnie taki talon zbudowany z kuponów, które są wielkości mniej więcej pudełka od zapalek i które odcinało się nożyczkami. Szło się po prostu do banku – w określonym dniu, kiedy można było otrzymać dywidendę – tam urzędnik bankowy odcinał ten kupon i wydawał za to pieniądze.

Kamil Bałuk: Tu właśnie widzimy, że mamy nieodcięty kupon za '39.

Tomasz Prusek: Papiery wartościowe przedwojenne są symbolem niezwyklej historii, która się wtedy działa – tragicznej. Wszystkie papiery wartościowe – czy akcje, czy obligacje – od nich zarówno dywidendy, jak i odsetki – te ostatnie, które udało się wypłacić w Polsce przedwojennej, to były za lipiec, sierpień '39 roku. Wiele z tych kuponów, które można na odwrotach akcji czy obligacji zobaczyć, które już mają daty 1 września, one nadal jeszcze tam są. Czyli ta historia została brutalnie przez wojnę przerwana. Ale nie tylko historia tych przedsiębiorstw, tych akcji, obligacji istniejących fizycznie, ale została przerwana historia rynku papierów wartościowych w Polsce na bardzo długi czas, bo aż na pięćdziesiąt dwa lata.

Kamil Bałuk: No i w ten sposób się do tych lat 90. możemy przenieść. Ty byłeś na tej pierwszej sesji?

Tomasz Prusek: Na pierwszej sesji nie byłem. Tak naprawdę kibicowałem jako ktoś, kto był zainteresowany tym rynkiem.

Kamil Bałuk: Kwiecień '91.

Tomasz Prusek: ...16 kwietnia '91 roku, pierwsza sesja na Giełdzie Papierów Wartościowych. Dodajmy, że sesja... To jest wielka tajemnica giełdowa, którą teraz państwu zdradzę. Ta sesja była w dużej mierze nielegalna. I dzisiaj można o tym już otwarcie powiedzieć, wtedy nikt o tym głośno nie mówił. Wynikało to z tego, że ustawa, która regulowała publiczny obrót papierami wartościowymi w Polsce, została uchwalona 22 marca 1991 roku i miała miesięczne *vacatio legis*, czyli miała wejść w życie tak naprawdę po miesiącu. Natomiast już 12 kwietnia '91 roku podpisano akt założycielski giełdy, a cztery dni później rozpoczęła się pierwsza sesja. Zatem zanim zdążyło prawo wejść w życie, już tak naprawdę życie wyprzedziło...

Kamil Bałuk: Słuchaj, po latach to się nie wydaje takie dziwne, bo w ostatnim czasie to się zdarza, więc... jednak historia Polski bywa sinusoidą.

Tomasz Prusek: Jak widać, prawo w tym kraju czasami rzeczywiście funkcjonuje tak, jak funkcjonuje. Natomiast ci, którzy wtedy rynek tworzyli, bardzo się spieszyli, ponieważ nie było wiadomo, czy rząd nie upadnie (który chciał giełdę wtedy rozpocząć).

Kamil Bałuk: Właśnie!

Tomasz Prusek: Mogłoby się okazać, że nowy rząd, który nie byłby rządem liberalnym, powiedziałby: „Hola, hola, nie będziemy robić giełdy” albo „Zrobimy ją za rok, za dwa, za trzy”. Wszyscy się bardzo spieszyli, dlatego też nie zawracali sobie głowy *vacatio legis*, lecz metodą faktów dokonanych po prostu stworzyli w Polsce giełdę papierów wartościowych.

Kamil Bałuk: Ale twoim zdaniem ta konieczność, czy może uzasadnienie decyzji o tym, że giełda będzie, to były na to wtedy przesłanki takie obiektywne, że to na pewno będzie dobre, powiedzmy, dla kraju, czy to był rodzaj takiej zajawki specjalistów? Bo to, że zwykli ludzie już bardzo szybko w kolejnych miesiącach i latach stali się tymi małymi, a potem większymi, inwestorami, no to to już jest historia i faktycznie tak było. Ale wtedy, w tamtym momencie, to było uzasadnione, żeby to ruszyło? W sensie, że bez giełdy byłoby coś dużo gorzej?

Tomasz Prusek: Jeśli chcieliśmy budować gospodarkę kapitalistyczną, giełda jest jej symbolem. Giełda, można powiedzieć, jest sterem gospodarki kapitalistycznej – z tego powodu, że służy alokacji kapitału. Pod tym pojęciem kryje się przesuwanie kapitału od tych, którzy go mają, do tych, którzy potrzebują. Czyli od ludzi, od przedsiębiorstw do tych firm na przykład, które chcą robić inwestycje, a nie mają na to pieniędzy. One wtedy albo wypuszczają akcje, które się kupuje, i staje się wtedy współwłaścicielem takiej firmy, albo na przykład obligacje, kiedy kupuje się dług i otrzymuje się właśnie kupony od tych obligacji. Odcina się te kupony. W '91 roku była zarówno potrzeba, jak i też (taka potrzeba gospodarcza) potrzeba usankcjonowania czegoś, co już się działo. Ponieważ tak naprawdę giełdy istniały już w Polsce przed giełdą warszawską.

Kamil Bałuk: No właśnie.

Tomasz Prusek: Były giełdy lokalne w wielu miastach w Polsce, ponieważ kilka lat wcześniej weszła w życie tak zwana ustawa Wilczka, która miała taką maksymę: co nie jest zabronione, jest dozwolone. Ponieważ nie było zabronione zakładanie giełd...

Kamil Bałuk: A... no jasne!

Tomasz Prusek: ...domów maklerskich, nie było zabronione nazywania się maklerem. Po prostu Polacy, którzy byli fantastycznymi przedsiębiorcami, którzy po tym okresie PRL-u postanowili tworzyć wolnorynkową gospodarkę, zaczęli również tworzyć giełdy i domy maklerskie. W wielu większych miastach w Polsce takie giełdy się zaczęły tworzyć. W

Krakowie, w Gdańsku, w Poznaniu, we Wrocławiu. Podam przykład giełdy w Krakowie: nazywała się Giełda Towarowo–Pieniężna i rozpoczęła swoją działalność w budynku Komitetu Wojewódzkiego Partii (byłej oczywiście) przy ulicy Świętego Tomasza. I tam zgromadzili się ludzie, którzy chcieli robić giełdę, chociaż nie za bardzo wiedzieli, na czym to polega. Aczkolwiek ta podstawa giełdy, czyli obrót – istniał. Handlowano tam kilkoma, dzisiaj powiedzielibyśmy, instrumentami, pod którymi się kryły na przykład...

Kamil Bałuk: Czyli akcjami konkretnych firm na przy...

Tomasz Prusek: Obligacje. Akcji jeszcze wtedy nie było.

Kamil Bałuk: A nie, nie było. Obligacje.

Tomasz Prusek: Ale czym handlowano. Handlowano na przykład obligacjami, które już wtedy były wypuszczone i istniały fizycznie. To był taki jeden rodzaj obligacji – obligacje drugiej misji, które istniały fizycznie pod koniec lat... na przełomie lat 80. i 90. zostały wypuszczone. Ale czym handlowano również? Cukrem, jak również, uwaga, latawcami! Ponieważ ktoś sprowadził z Chin jakąś ilość latawców, trzeba je było sprzedać. I znam ludzi, którzy wtedy nie byli jeszcze maklerami (licencjonowanymi), ale nazywali się maklerami, i oni handlowali tymi obligacjami skarbowymi na przewróconej szafie pancерnej, właśnie w tej siedzibie byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie. Wkrótce założyli jeden z najbardziej znanych prywatnych domów maklerskich, uzyskali licencję i w ten sposób stali się, można powiedzieć, pełnoprawnymi uczestnikami rynku. Dlaczego ta giełda powstała w Warszawie i czy była potrzeba istotnie, żeby ten rynek uregulować? Początek lat 90. to żywiołowy rozwój gospodarki. Co nie było zabronione, to było dozwolone. Ale bardzo szybko okazało się, że ci, którzy myśleli o stworzeniu takiego profesjonalnego rynku, wiedzieli, że to są wielkie pieniądze i nie można tego do końca puścić na żywioł.

Kamil Bałuk: Ktoś musi nadzorować.

Tomasz Prusek: Ktoś musi nadzorować, musi być giełda powołana z prawdziwego zdarzenia. I to była jedna ze strategicznych decyzji, którą wtedy podjęto – na początku lat 90. Czy

zachować giełdy regionalne, takie, nazwijmy to, wojewódzkie (a każde większe miasto wojewódzkie miało ambicje mieć u siebie giełdę papierów wartościowych wtedy)...

Kamil Bałuk: No tak, to tak, jak dzisiaj aquapark albo lotnisko.

Tomasz Prusek: Albo lotnisko. Czy też stworzyć jedną centralną giełdę, gdzie skoncentruje się handel papierami wartościowymi – będzie to łatwiej nadzorować i taki rynek będzie bardziej efektywny. Wybór wtedy nie był taki oczywisty, ponieważ w Europie było bardzo dużo giełd regionalnych i centralizacja giełdy dopiero była takim trendem, który się rozpoczynał. Pierwszy system informatyczny, który był na warszawskiej giełdzie w roku '91, uwaga, pochodził z Francji. Ale wcale nie z giełdy paryskiej, tylko z giełdy w Lyonie, która wtedy już była marginalizowana. Te giełdy regionalne były już przeszłością. I wielka chwała polskim twórcom rynku kapitałowego, że dostrzegli wówczas taki trend, bo gdybyśmy zbudowali kilkanaście giełd regionalnych – rozproszonych, słabych – dzisiaj na pewno nie mielibyśmy tak dobrego rynku kapitałowego, jak mamy. Zatem ta centralizacja rynku, stworzenie jednej giełdy w Warszawie, było dobrym posunięciem, chociaż przepisy początkowo nie zabraniały tworzenia innych giełd. Ustawa to pozwalała na to, aczkolwiek do tego nie doszło.

Kamil Bałuk: Powiedz. Mówisz „system informatyczny”, a ten system był na komputerach, które podczas pierwszej sesji wcale nie przynależały tam, gdzie były (w budynku giełdy) i zniknęły dość szybko. Co to była za sytuacja?

Tomasz Prusek: Pierwsza sesja, 16 kwietnia '91 roku, przebiegała w bardzo podniosłym nastroju, aczkolwiek od strony technicznej była to jedna wielka improwizacja – można powiedzieć literacko, ponieważ giełda nie miała własnych komputerów. Zostały one wypożyczone z jednej z fundacji. Następnego dnia musiały być po prostu oddane, więc sala notowań następnego dnia w niczym nie przypominała sali notowań z zaledwie dzień wcześniej, ponieważ wszystko zostało wyniesione. Ktoś, kto by tam wówczas wszedł, pomyślałby, że: „Tak, była giełda, zawarli transakcje, no i jest jakiś wielki *fraud*”.

Kamil Bałuk: No tak, że zniknęło wszystko.

Tomasz Prusek: Ale nic z tego. Giełda wówczas, na samym początku, miała tylko jedną sesję w tygodniu.

Kamil Bałuk: Aa... Okej.

Tomasz Prusek: Później były dwie, później trzy, potem pięć. Ta pierwsza sesja wiązała się z ogromnymi emocjami, tym bardziej że odbywała się w budynku byłym Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I to było przełomowe, można powiedzieć, w takim też psychologicznym podejściu do giełdy. Bo wyobraźmy sobie giełdę, która jest ikoną kapitalizmu, która rozpoczyna działalność w ikonie komunizmu, czyli w siedzibie największej partii komunistycznej rządzącej przez blisko pięćdziesiąt lat w Polsce. I też taka była właśnie teoria, że umieszczono siedzibę giełdy papierów wartościowych w dawnym budynku KC (nazywanym Domem Partii czy też Białym Domem – z uwagi na elewację) ze względów ideologicznych: aby dobić socjalizm, dobić PRL, dobić komunizm. Pokazać.

Kamil Bałuk: To była mocna metafora.

Tomasz Prusek: Nic z tego. To tylko legenda. Powód był o wiele bardziej banalny. Mianowicie – po drugiej stronie ulicy Nowy Świat 6/12, gdzie znajdował się budynek KC PZPR, znajdowała się ulica Mysia, gdzie w budynku dawnej cenzury znalazło się Ministerstwo Przekształceń Własnościowych. Więc chodziło też o to, aby urzędnicy mieli blisko na giełdę. Ale liczyło się też to, że z tego tytułu, iż tam była cenzura, a w budynku KC była siedziba partii, było tam dużo linii telefonicznych.

Kamil Bałuk: Aaa...

Tomasz Prusek: A, jak pamiętamy, początek lat 90., przełom lat 80. i 90. – deficyt telefonów był ogromny i posiadanie linii telefonicznych to była strategiczna rzecz najważniejsza.

Kamil Bałuk: To jest taki obrazek giełdowy z popkultury, że makler tam w nazelowanych włosach, w białej koszuli i szelkach czy garniturze, siedzi... wisi na telefonie i: „Sprzedaj”, „Kupuj” z drugiej strony mu mówią. No i faktycznie ta sprzedaż telefoniczna była możliwa,

ale najpierw co innego było ciekawe. Że to przekształcenie wymagało tak zwanej dematerializacji tych akcji. O co chodzi w skrócie: czyli że były fizycznie, a tutaj, przy dość, myślę, niskim zaufaniu społecznym wtedy do wszystkiego, co się działo, trzeba było wytłumaczyć ludziom, że oni teraz nie będą mieć w ręce papieru wartościowego.

Tomasz Prusek: Wytłumaczyć ludziom inwestorom to jedno, a wytłumaczyć politykom, posłom, senatorom, urzędnikom, którzy mają się zajmować rynkiem kapitałowym, że będziemy handlować czymś, co nie istnieje fizycznie...

Kamil Bałuk: Tak.

Tomasz Prusek: ...tylko istnieje w postaci zapisu komputerowego.

Kamil Bałuk: Dzisiaj się to wydaje oczywiste, ale myślę, że wtedy...

Tomasz Prusek: Wówczas była to rewolucja. I to był kolejny, niezwykle innowacyjny ruch twórców polskiego rynku kapitałowego.

Kamil Bałuk: Ale czemu? Czemu wtedy? Właśnie.

Tomasz Prusek: Z kilku powodów. Po pierwsze kosztowych. Gromadzenie papierów wartościowych istniejących fizycznie, czyli wydrukowanych tak jak przedwojenne akcje, obligacje, na które patrzymy...

Kamil Bałuk: Bardzo ładne.

Tomasz Prusek: ...powodowało, że trzeba było zatrudnić ogromną liczbę osób, które zajmowały się fizycznie ich przechowywaniem, obrotem, co w latach 70., 80., generowało na Zachodzie (tam, gdzie były dojrzałe giełdy papierów wartościowych) ogromne koszty. Jeden z pracowników Komisji Papierów Wartościowych opisywał mi kiedyś: pojechał do Francji, żeby zobaczyć, jak to funkcjonuje, i był przerażony, bo wszedł do ogromnej hali, gdzie pod sufitem wisiły podwieszane na hakach worki, niczym póttusze w rzeźni, pełne akcji wielkiego baku,

które były tam po prostu deponowane.

Kamil Bałuk: Ale co... Tak wysoko, żeby ludzie nie dosięgnęli, czy... jak to...

Tomasz Prusek: To była kwestia, że po prostu mieściło się więcej.

Kamil Bałuk: Aa... jasne.

Tomasz Prusek: Kiedy trzeba było konkretny worek ściągnąć, to się go po prostu ściągało i z niego się wyciągało konkretne akcje. Ten system z papierami istniejącymi fizycznie był niezwykle skomplikowany, niezwykle kosztowy. W tym jednym francuskim banku, do którego pojechał mój rozmówca, wyobraźmy sobie, że przy samym rozliczaniu fizycznie istniejących papierów wartościowych pracowało, uwaga, 3 tysiące osób. Jest to absolutnie niewyobrażalna liczba pracowników. Natomiast w Polsce bardzo innowacyjnie wymyślono, że akcje będą znajdowały się w Krajowym Depozycie Papierów Wartościowych (to druga bardzo ważna instytucja, która powstała równoległe z Giełdą Papierów Wartościowych) i że deponowane będą tam tak zwane odcinki zbiorcze akcji. To taki był trochę polski patent wtedy, który wymyślili polscy prawnicy – na czele z profesorem Grzegorzem Domańskim, który tworzył takie prawne podwaliny rynku papierów wartościowych w Polsce. Polegało to w skrócie na tym, że te odcinki zbiorcze były deponowane w Krajowym Depozycie Papierów Wartościowych, a te wszystkie zapisy komputerowe, które dostawali inwestorzy w postaci wydruków świadectw depozytowych, to były takie ułamki zawarte w tym jednym odcinku. Jeden odcinek był niezwykle cenny i wiąże się z nim również kilka wydarzeń, które o mało nie wstrząsnęły wówczas na początku giełdy papierów wartościowych. Otóż jeden z prezesów jednej z pierwszych spółek giełdowych przywiózł do Warszawy fizycznie istniejący odcinek zbiorczy, przekazał go do Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych na kilka dni przed pierwszą sesją 16 kwietnia i przekazał to dokładnie na dzień przed sesją. I szefowa Depozytu stwierdziła, że jest zamknięty już pokój, w którym był sejf. Postanowiła włożyć go do swojego biurka (zamykano go na klucz). Następnego dnia, kiedy miała rozpocząć się pierwsza sesja na giełdzie, otworzyła biurko i ogromne przerażenie: nie ma odcinka zbiorczego akcji tej spółki. Czyli nie ma prawa własności tak naprawdę.

Kamil Bałuk: No tak.

Tomasz Prusek: Popłoch trwał kilka godzin. Nie było wiadomo za bardzo, co zrobić.

Kamil Bałuk: Podejrzewano, że ktoś mógł ukraść.

Tomasz Prusek: Ktoś mógł ukraść i stać się właścicielem całej tej wielkiej firmy. Co się okazało – powód był również dosyć banalny. Jak to wiemy z doświadczenia, czasami, kiedy szuflady są przepelnione, dajemy coś na samą górę i zamykamy szufladę, to to, co znajduje się na samej górze, spada za szufladę. I tak samo było w tej sytuacji. Odnaleziono po kilku godzinach rozpaczliwych zupełnie poszukiwań ten odcinek zbiorczy gdzieś tam za szufladą. Zatem te odcinki zbiorcze to był przełom, jeśli chodzi o dematerializację akcji. I pomagało to również w tym, iż rynek nie był narażony na kradzieże. No bo skoro coś istniało w zapisie komputerowym, to nie sposób było tego ukraść. A gdyby istniało fizycznie, tak jak akcje chociażby przedwojennego Banku Polskiego, to były akcje na okaziciela. Można je było ukraść i stać się w sposób przestępczy ich właścicielem. Co więcej, papiery wartościowe można było fałszować, skoro istniały fizycznie.

Kamil Bałuk: No tak.

Tomasz Prusek: Te obligacje, o których wspomnieliśmy, że handlowano nimi w samowłańczych giełdach i domach maklerskich jeszcze przed powstaniem giełdy w Warszawie, obligacje drugiej emisji, one były fałszowane. To był również taki sygnał ostrzegawczy dla twórców rynku kapitałowego, że trzeba coś z tym zrobić. Dlatego doprowadzono do dematerializacji. A co wystarczyło, żeby sfalszować obligacje drugiej emisji: wystarczyło sfalszować zwykłą pieczęć bankową.

Kamil Bałuk: No tak.

Tomasz Prusek: To były obligacje, które miały zabezpieczać przed wzrostem inflacji. Wtedy mieliśmy hiperinflację. Hiperinflacja oznaczała, że w skali miesiąca, nie – roku, inflacja rosła nawet rzędu 70–80%. Wyobraźmy sobie, co... jakie zyski dawało sfalszowanie stempla i

przesunięcie o kilka miesięcy naliczenia odsetek na taką obligację. Zatem dzięki temu, co określamy takim zimnym słowem dematerializacja, osiągnięto... to był rynek bardzo innowacyjny, rynek niepodatny na fałszerstwa, rynek, który mógł być w awangardzie rynków światowych.

Kamil Bałuk: Tu znowu skorzystaliśmy, jak wiele razy później, z tego, że nie byliśmy obowiązani tym istniejącym już systemem. To znaczy widzieliśmy jako Polacy, jakie są możliwe rozwiązania, i akurat trafiliśmy na taki moment, kiedy to było możliwe. Mi przychodzi do głowy na przykład taka usługa jak płatności zbliżeniowe kartą, która też jako Polska... jako jeden z pierwszych krajów to miała, właśnie dlatego, że był luz. Była możliwość innowacji, były jeszcze nieskostniałe przyzwyczajenia ludzi. Także dużo rzeczy się działo szybciej u nas. Ja się zastanawiam, jak ty pamiętasz te lata 90., początku giełdy. Kto tam chodził kupować? Kto, szczególnie z takich zwykłych ludzi pojedynczych, niezwiązanych z wielkimi firmami, kupował akcje i w jaki sposób to się odbywało. Czy ci ludzie, nie wiem... jakoś byli z konkretnych grup społecznych. Albo mnie zdziwiło w jednym z takich reportaży w antologii **20 na 20** (chodzi o książkę „20 lat nowej Polski w reportażach wg. Mariusza Szczygła”, 2009, Wydawnictwo Czarne) Mariusza Szczygła... jest właśnie taki pamiętnik giełdowy. Tam się okazuje, że nagle jeden nauczyciel zaczął grać, potem cała szkoła, potem tylko o tym rozmawiali. Czy to (mówimy o Warszawie oczywiście) zapamiętałaś tak, że się zrobił szal, że sporo osób bez tego zaplecza finansowego zaczęło inwestować?

Tomasz Prusek: Mówiąc w dużym skrócie: cała Polska grała na giełdzie w pierwszych latach istnienia. Polacy giełdę pokochali. Dla Polaków giełda stała się maszynką do robienia pieniędzy. Wówczas było zaledwie notowanych (początkowo) pięć spółek.

Kamil Bałuk: Jakie to były na przykład spółki?

Tomasz Prusek: Budowlane Exbud, producent płaszczy Próchnik, producent kabli Śląskie Kable, następnie Krosno, które produkowało szkło, oraz Tonsil, producent sprzętu elektronicznego i głośników. To było pierwsze pięć spółek, których akcje sprzedano jeszcze na przełomie lat '90–'91 roku w ofercie publicznej. I wówczas już znaleźli się pierwsi

inwestorzy prywatni, indywidualni. Zwykli. Ci posiadacze oszczędności, którzy postanowili zaryzykować i kupić akcje, myśląc o tym, że kiedyś będzie uruchomiona giełda papierów wartościowych. Bo te pierwsze oferty publiczne, kiedy rząd postanowił sprywatyzować firmy przez giełdę, ale giełdy wtedy jeszcze nie było, no to były niezwykle czasy, gdyż inwestorzy kupowali akcje, którymi nie było wiadomo, gdzie będzie się obracać tak naprawdę. Bo nie było wtedy jeszcze giełdy papierów wartościowych. Kto kupował? Kupowali zwykli ludzie. Kupowali właśnie nauczyciele, kupowali pracownicy, kupowali ludzie z całej Polski.

Kamil Bałuk: Ale pamiętasz takie scenki, że spotkałeś takich ludzi? Tak...

Tomasz Prusek: Spotykałem ich codziennie, spotykałem ich codziennie.

Kamil Bałuk: Taką jakąś, wiesz, ludzką twarz tego bym chciał poznać. Bo makler sam w sobie to oczywiście były niesamowite kariery. Często młodzi ludzie nagle stawali się dużo ważniejsi niż starsi, ale chyba najciekawsze jest to, jak ta ulica tak zwana, do dzisiaj się tak mówi, wkraczała. Zdarzało ci się rozmawiać z jakimiś takimi pojedynczymi?

Tomasz Prusek: Rozmawiałem codziennie jako dziennikarz i jako ktoś, kto tym rynkiem się zajmował.

Kamil Bałuk: Bo to właśnie oni mnie najbardziej interesują wtedy. Ze swoimi marzeniami, aspiracjami. Jakie to były klimaty? Pamiętasz?

Tomasz Prusek: Inwestorzy przyjeżdżali czasami fizycznie na giełdę papierów wartościowych w Warszawie, do budynku KC, z walizkami pełnymi pieniędzy.

Kamil Bałuk: Aa...

Tomasz Prusek: Widziałem takich ludzi, którzy przyjeżdżali, bo dowiedzieli się, że tu jest giełda, i chcieli przyjechać, żeby kupić akcje. Nie wiedzieli, że nie można tak kupić akcji, ponieważ pośredniczą w tym domy maklerskie. Więc trzeba sobie założyć najpierw rachunek inwestycyjny w domu maklerskim, wpłacić pieniądze, złożyć zlecenie, następnie kupić akcje.

Więc...

Kamil Bałuk: I to nie można było kupić zwykle tyle, ile się chciało, no bo były redukcje.

Tomasz Prusek: Akcji było mało.

Kamil Bałuk: Jeśli wszyscy chcieli kupić naraz albo wszyscy sprzedać naraz, to o wiele mniej się wtedy...

Tomasz Prusek: Dlatego te wahania kursów były niezwykle. Można powiedzieć, że kursy tych pierwszych spółek, kiedy przyszła hossą, one jeździły jak winda w drapaczu chmur i ci inwestorzy przeżywali ogromne emocje. Ale nie tylko w Warszawie, bo w całej Polsce potworzyły się domy maklerskie. W większości większych miast wojewódzkich, które zgromadziły początkowo kilkadziesiąt tysięcy inwestorów, a u szczytu hossy kilkaset, blisko milion inwestorów mieliśmy w Polsce w zaledwie... w kilka lat, co było ogromnym osiągnięciem. Byli to inwestorzy w dużej mierze niewykwalifikowani, którzy tak naprawdę uczyli się tej giełdy w biegu.

Kamil Bałuk: To czym się sugerowali? Bo ja pamiętam takie scenki, że wyjazdowo na przykład się okazuje, że nie ma telefonów komórkowych, więc ludzie na przykład w miejscowości wypoczynkowej gdzieś się ustawiają do telefonu i się okazuje, że tam większość z nich chce dzwonić właśnie na giełdę. Z kolei pewnie w Warszawie też byli ludzie gdzieś w jakichś grupkach, którzy co... wyobrażam sobie, że na jakichś kartkach papieru tam... chowali je albo podglądali, albo dyskutowali. Opowiedz, bo to kompletnie... kosmos.

Tomasz Prusek: O giełdzie się rozmawiało, dyskutowało, chodziło na kawę, stworzyło takie nieformalne grupy, które zastanawiały się, co warto kupić, co warto sprzedać. A kiedy dochodziło do składania tych zleceń, często okazywało się, że inwestorzy chcieli kupić jakiegokolwiek akcje. Jakiegokolwiek.

Kamil Bałuk: No tak. Bo było mało.

Tomasz Prusek: Jeden z właścicieli domów maklerskich opowiadał mi, jak w takim szczyście gorączki giełdowej, po wielu godzinach oczekiwania na mrozie, w nocy, w kolejce, aby dostać się do domu maklerskiego i złożyć zlecenie fizycznie przed maklerem, wparował inwestor. Zmęczony, zgrzany, niewyspany, który rzucił tylko do maklera: „Kupuję «Barbarę»!”. Makler powiedział: „Ale... ale my nie mamy «Barbary»”. „Jak to nie macie «Barbary»? Ja chcę kupić «Barbarę»!”. „Nie ma takiej spółki jak «Barbara»”. Prawie doszło do rękoczynów. Powiedział, że jak nie kupi „Barbary”, to stąd nie wyjdzie. Inteligentny makler skojarzył, że jest rzeczywiście na giełdzie spółka, która nosi kobiece imię – nazywała się „Irena”. Huta szkła. I powiedział: „Nie mamy «Barbary», ale mamy «Irenę»”. „«Irena»? Świetnie! Też może być!”. Taki był poziom wiedzy wielu zielonych zupełnie inwestorów, którzy chcieli kupić akcje jakiegokolwiek, ponieważ wydawało im się, że jest to sposób na bardzo szybkie zarobienie dużych pieniędzy. Na giełdzie również pojawił się kiedyś inwestor, który przyjechał z walizką pieniędzy, który chciał kupić WIG, czyli Warszawski Indeks Giełdowy.

Kamil Bałuk: Cały indeks, czyli tak jakby spółki wszystkie.

Tomasz Prusek: Nie wiedząc... Tak, nie wiedząc, że to jest indeks giełdowy, a nie spółka giełdowa.

Kamil Bałuk: No tak. To laik tak może pomyśleć sobie. Nawet do dzisiaj. Tak myślę, że ponieważ to jest ta główna wartość, która jest podawana, to można uznać, że to jest jakaś na przykład najważniejsza spółka albo coś takiego.

Tomasz Prusek: I tak ten inwestor zapewne myślał, chociaż należy mu oddać też hołd, ponieważ trochę wyprzedził epokę, bo kilka lat później można było kupić kontrakty terminowe na WIG właśnie.

Kamil Bałuk: No tak.

Tomasz Prusek: Natomiast wtedy, kiedy przyjechał z tą swoją walizką wypchaną banknotami i chciał kupić WIG, wprowadził rzeczywiście wszystkich w osłupienie. To był taki moment, kiedy

inwestorzy mogli przyjechać i mogli fizycznie wejść na parkiet znajdujący się na ostatnim piętrze.

Kamil Bałuk: Że faktyczny parkiet istniał.

Tomasz Prusek: Fizycznie istniał parkiet. Dookoła byli – za takimi szybami, kontuarami – maklerzy.

Kamil Bałuk: Co to byli za ludzie – ci maklerzy wtedy?

Tomasz Prusek: Maklerzy to była nowa grupa społeczna, która się tworzyła. Maklerów nie było, ponieważ nie było przez ponad pięćdziesiąt lat giełdy w Polsce. To byli ludzie, którzy zdali egzamin maklerski, bo byli licencjonowanymi maklerami papierów wartościowych, a zdać taki egzamin maklerski było szalenie trudno.

Kamil Bałuk: Trzeba było mieć ekonomiczne wykształcenie czy niekoniecznie?

Tomasz Prusek: Niekoniecznie. Trzeba było mieć bardzo dobrą pamięć i, uwaga, wielu maklerów w pierwszych latach to byli ci, którzy potrafili zakuć ogromne ilości wiedzy w krótkim czasie. Więc byli na przykład, uwaga, lekarzami.

Kamil Bałuk: Aa... A czemu...

Tomasz Prusek: Dla nich nauczenie się anatomii, która jest... waży kilka kilogramów, nie było problemem. Więc nauczenie się przepisów prawnych i innych też nie było problemem. I ci maklerzy zdawali egzaminy maklerskie, które miały bardzo wysoki poziom trudności. Tak wysoki, że kiedy zorganizowano pierwszy egzamin maklerski i zdało go zaledwie – na 200 osób – kilka, twórcy Komisji Papierów Wartościowych aż się przerazili i szybko zorganizowali kolejny egzamin, gdzie zdało około 10%. A ci maklerzy byli potrzebni, ponieważ (według ustawy) żeby dom maklerski mógł funkcjonować i żeby mógł mieć licencję Komisji Papierów Wartościowych, i mógł przyjmować zlecenia od tych rzeszy inwestorów indywidualnych, musiał zatrudniać co najmniej dwóch maklerów. Zatem był to zawód deficytowy. Maklerów

było mało. Byli to ludzie, których wrywano sobie na rynku, podkupywano, oferowano im samochody, gigantyczne pensje. Byli to ludzie, można powiedzieć, na początku lat 90. ludźmi sukcesu.

Kamil Bałuk: [00:42:25 ?

Tomasz Prusek: Pierwsza sesja miała również wiele takich elementów, które dziś, przy profesjonalizmie rynku, byłyby niemożliwe. Otóż logo giełdy przywiózł na pierwszą sesję osobiście prezes giełdy w bagażniku swojego samochodu.

Kamil Bałuk: Ale logo, czyli jakąś... plastik? tekturę? Co...

Tomasz Prusek: Była to płyta MDF, na której stworzył...

Kamil Bałuk: A. Taka jak dzisiaj... to się chyba robi z niej teraz...

Tomasz Prusek: Meble.

Kamil Bałuk: Meble, właśnie.

Tomasz Prusek: Meble. Znajomy plastik, sąsiad prezesa, stworzył logo i prezes je przywiózł na giełdę. Dzwon giełdowy był подарowany z Francji.

Kamil Bałuk: A do czego służy dzwon? Powiedz.

Tomasz Prusek: Dzwon giełdowy to jest taki symbol. Uderzenie w ten dzwon giełdowy rozpoczyna i kończy sesję. Dzisiaj taki dzwon giełdowy również na giełdzie mamy i kiedy spółki nowe pojawiają się na parkiecie, wtedy następuje takie też symboliczne uderzenie w ten dzwon giełdowy, aby spółka na tym parkiecie się zameldowała. To dzieje się również na innych giełdach. Czasami znamienici goście, na przykład na giełdzie nowojorskiej, czego też byłem świadkiem, są zapraszani do tego, aby rozpocząć czy też zakończyć sesję właśnie uderzeniem w dzwon. Te początki giełdy były niezwykle ciekawe. Też z tego powodu, że

maklerzy starali się być tacy bardzo zachodni, jak z zachodnich filmów, na przykład „Wall Street” Oliviera Stone’a, gdzie mamy młodego maklera Buda Foxa, który jest pod wielkim wpływem swojego mentora, takiego rekina finansjery, Gordona Gekko. To był film, który wywarł ogromny wpływ na całe pokolenie, można powiedzieć, w latach 90. Tych wszystkich ludzi, którzy chcieli się związać z rynkiem papierów wartościowych, a symbolem ich były...

Kamil Bałuk: A chodzi ci o symbol, o ubiór czy o co?

Tomasz Prusek: ...właśnie czerwone szelki maklerskie...

Kamil Bałuk: Aa...

Tomasz Prusek: ...które na tym zdjęciu, które znajduje się w Muzeum, doskonale widać. Te szelki były takim właśnie symbolem, taką przepustką do tego wielkiego świata finansów i ci wszyscy, którzy je nosili na tych białych koszulach, czuli się w jakiś sposób wyróżnieni jako ci, którzy tworzą właśnie giełdę papierów wartościowych.

Kamil Bałuk: Ty poznałeś dużo tych maklerów? Wielu z tamtego czasu?

Tomasz Prusek: No... prawie wszystkich tych... Ich było niewielu tak naprawdę, ponieważ te egzaminy było trudno zdać. Znałem przynajmniej czołówkę zarówno maklerów, jak i późniejszych doradców inwestycyjnych. To, co maklerzy mówili o egzaminach, to czasem przypominało horror, bo one były bardzo skomplikowane. Były testy wielokrotnego wyboru, ale, uwaga, można było również – co było kompletną nowością w Polsce – otrzymać punkty ujemne.

Kamil Bałuk: Okej.

Tomasz Prusek: Punkty ujemne. Czyli, jak to powiedział jeden z twórców tych szalenie trudnych testów – strzelanie w ogóle się kompletnie nie opłacało. Chęć zostania maklerem była tak przemożna, że do kolejnych egzaminów na początku lat 90. przystępowały coraz większe liczby kandydatów. Doszło do tego, że w szczytowym momencie hossy do egzaminu

na maklera przystąpiło, uwaga, 2 tysiące osób. Nie było takiej sali, gdzie można byłoby ich pomieścić, i Komisja Papierów Wartościowych wynajęła wszystkie dostępne sale w Pałacu Kultury i Nauki. Ale kiedy okazało się, że zabrakło biurek czy stolików, przy których można było pisać, część z kandydatów pisała, siedząc wyłącznie na krześle i rozwiązując testy, umownie, na kolanie. To były niezwykle momenty w historii tego rynku, kiedy ci przeważnie młodzi ludzie chcieli za wszelką cenę zostać maklerami. I te wszystkie niedogodności, które dzisiaj wydają nam się jak z kosmosu, dla nich po prostu były czymś, przez co można było przejść, byle tylko zdobyć upragnioną licencję maklerską.

Kamil Bałuk: A powiedz mi, bo ja, z racji pewnie też trochę innego pokolenia, mam taki słodko-gorzki, czasem ironiczny stosunek do takich legend neoliberalizmu. Powiedz, oczywiście nie musisz nazwiskami, ale jak sobie wspominasz tych maklerów, tych młodych ludzi – pewnie w większości mężczyzn, prawda?

Tomasz Prusek: W większości mężczyzn. Kobiet rzeczywiście było mało.

Kamil Bałuk: To jak te historie się potoczyły? To znaczy taki makler z tamtego czasu... oczywiście każda historia jest inna, ale to możesz, wiesz, anonimowo jakieś podać przykłady... Czy to byli ludzie, którzy potem zostali z giełdą, czy to byli ludzie, którzy zakładali firmy, mieli jakieś fortuny właśnie już nie jako ci doradcy czy pośrednicy, tylko aktywnie. Czy niektórzy na przykład poszli w jakieś nałogi, jakoś te fortuny zostały przehelane. Jakie mniej więcej były losy tych ludzi? Zaraz powiemy o zwykłych inwestorach, ale maklerzy to już się wtedy wydawało elita elita, pięknie wspominać te egzaminy, a potem życie inne egzaminy pewnie podsunęło.

Tomasz Prusek: Część z nich do dzisiaj jest związana z rynkiem papierów wartościowych, czasami, jak spotykam się z ludźmi, którzy 30 lat temu rozpoczynali rynek kapitałowy, to pytam się o numer licencji. Czasami...

Kamil Bałuk: A... bo można zobaczyć, jak wczesny...

Tomasz Prusek: Jak wczesny, tak, dokładnie. Zarówno maklerska, jak i doradcy

inwestycyjnego. Część z nich nadal pracuje na rynku, część została przedsiębiorcami, część poszła do administracji państwowej, część została szefami wielkich firm. Jeden z pierwszych maklerów rozpoczął pracę w latach 90. i był podczas tej pierwszej sesji giełdowej – został później wiceministrem finansów i szefem jednej z największych polskich firm. Więc te kariery układały się różnie. Byli również tacy, którzy po tym okresie pierwszej fascynacji porzucili swój zawód, byli wykreślani z listy. Ale byli też tacy, którzy postanowili przejść na ciemną stronę mocy, czyli dopuszczali się przestępstw giełdowych, dopuszczali się insider tradingu...

Kamil Bałuk: Insider tradingu, czyli że ktoś, kto ma wiedzę, która nie powinna być wykorzystywana, wykorzystuje ją.

Tomasz Prusek: Informacje poufne wykorzystuje w obrocie i na tym zarabia, co rzeczywiście jest przestępstwem. Istniało na początku lat 90. takie, można powiedzieć, podziemie inwestycyjne, podziemie doradcze. To było związane trochę z charakterem rynku, który tworzono, mianowicie: makler papierów wartościowych nie mógł doradzać. Nie mogło być tak jak w Stanach, że dzwonił do klienta, mówił: „Słuchaj, mam superspółkę, tysiąc akcji, chcesz kupić, to kupuj. Polecam ci to”. Było to niemożliwe. Nazywano wówczas maklerów czasem żartobliwie maklomatami, czyli takimi klepaczami zleceń, którzy nie mogli się, broń Boże, odezwać i powiedzieć, co sądzą na temat danej spółki, doradzić inwestorom, a – jak wcześniej powiedzieliśmy – poziom wiedzy inwestorów był niski. Wielu z nich było kompletnie zielonych, nie wiedziało nawet, jakie spółki są notowane na giełdzie, chciało kupić jakiegokolwiek akcje. I przez kilka lat rzeczywiście maklerzy pełnili taką rolę wyłącznie tych, którzy przyjmują zlecenia (mimo że bardzo trudne egzaminy zdawali), ponieważ konstrukcja rynku była taka, iż rolę doradztwa tym inwestorom mieli przejąć doradcy inwestycyjni – również licencjonowani. Tylko że przez kilka lat nie organizowano w ogóle egzaminów na doradcę inwestycyjnego, a kiedy je zorganizowano już (w roku '93, jesienią), okazało się, że po raz kolejny egzaminy były tak trudne, że zdało, uwaga, dwóch zaledwie, którzy oczywiście zostali na piu kupieni przez wielkie instytucje finansowe i tyle ich widzieli zwykli zjadacze chleba, którzy chcieli zainwestować w akcje. I to podziemie takie doradcze, które istniało, ono było nieformalne. To znaczy zdarzały się przypadki (oczywiście nie chciałbym tutaj generalizować), że ludzie pracujący w domach maklerskich wchodził w taką nielegalną rolę doradcy tego, który podszepta, w zamian za jakąś gratyfikację czy jakiś

prezent (jakie akcje można na przykład kupić). I jak z moich rozmów z przedstawicielami Komisji Papierów Wartościowych w tamtym czasie wynika, że dopóki była hossą, to tego problemu nie było, ponieważ wszyscy zarabiali. Kiedy problem się okazał poważny? No wtedy, kiedy przyszedł pierwszy krach na giełdzie w Warszawie (wiosną '94 roku) i inwestorzy zaczęli tracić ogromne pieniądze. Wtedy zaczęli pisać skargi do nadzoru finansowego, mówiąc, że: „Aa... tamten, w tym i tym domu maklerskim doradził mi, żeby kupić te akcje, a teraz jestem już bankrutem”.

Kamil Bałuk: Co się zresztą wiązało z sytuacją polityczną, bo tam właśnie zmieniające się rządy i tak dalej – to się wszystko zawsze odbijało na rynku, tak.

Tomasz Prusek: Komisja Nadzoru... Komisja Papierów Wartościowych, której kontynuacją dzisiaj – Komisja Nadzoru Finansowego, na początku lat 90. była chyba najlepiej działającą policją w Polsce. Lata 90. to okres takiego dużego rozprężenia, wzrostu znaczenia i siły podziemia przestępczego. Wtedy i wymiar sprawiedliwości, i inne służby nie działały zbyt dobrze. Natomiast to, co charakteryzowało polską giełdę, to było to, że przed Komisją Papierów Wartościowych (stworzoną przez nieżyjącego już Lesława Page, jednego z twórców polskiego rynku kapitałowego) po prostu panował lęk. Zarówno wśród inwestorów, jak i wśród właścicieli na przykład domów maklerskich, prezesów spółek. Wydawało się, że te bardzo wysokie standardy jakościowe, które narzucono polskiemu rynkowi wówczas, one powodowały, że na tym rynku, jak na każdym innym oczywiście... dochodzi do przestępstw kapitałowych, do insider trading, do różnego rodzaju naruszeń prawa. Ale jak na lata 90., mieliśmy tego w Polsce naprawdę niewiele. Kiedy tak popatrzymy na inne giełdy, chociażby naszego regionu, to widać było, że ten sposób, w jaki tą giełdę zorganizowano, czyli z takim silnym regulatorem, który był takim policjantem rynku kapitałowego, to było dobre rozwiązanie. Z ciekawostek – na giełdzie w tym Domu Partii, w którym znajdowała się siedziba giełdy, znajdował się również tak zwany pokój zwierzeń. Pokój zwierzeń, w którym zawsze dyżurował pracownik Komisji Papierów Wartościowych i do którego mógł przyjść każdy. Mógł przyjść...

Kamil Bałuk: Ale co... nakablować na kogoś czy spytać się?

Tomasz Prusek: Powiedzieć, donieść. Mógł donieść, mógł powiedzieć, co mu się nie podoba, jakie ma podejrzenia albo co w ogóle sądzi o tym wszystkim. I rzeczywiście rozmawiałem z osobami, które ze strony Komisji Papierów Wartościowych w takim pokoju dyżurowały. Przychodzili inwestorzy naprawdę z bardzo wieloma sprawami i czasami te sprawy dawały początek różnego rodzaju dochodzeniom. Zatem taki pokój zwierzeń na giełdzie papierów wartościowych się znajdował. Kiedy giełda już zmieniła swoją siedzibę i z byłej siedziby Komitetu Centralnego przy ulicy Nowy Świat 6/12 przeniosła się obok, do Centrum Giełdowego przy Książęcej 4, po sąsiedzku, tam już tego pokoju zwierzeń nie było. Ale to również kawał historii...

Kamil Bałuk: To, nawiasem mówiąc, dosyć ciekawie, bo tych pokoi zwierzeń w poprzednim systemie tam akurat było pewnie sporo. Ciężko powiedzieć, czy to bardziej to przypominało, czy z kolei nową siłą powracającą, czyli Kościół i jakąś spowiedź. Ale ten pokój zwierzeń jako symbol też mi się wydaje bardzo polski w tamtym czasie. Ciekawe. Powiedz, czy pamiętasz jakieś wielkie radości, fortuny, tragedie pojedynczych ludzi. Bo pierwsze, mówisz, trzy lata były takie wesołe, czyli że wszyscy się tylko denerwowali, że tak mało mogą kupić akcji przy tych redukcjach. No i potem przyszedł taki moment, który zawsze przychodzi – bessa po hossie. Że zaczęli tracić. To jest właśnie to, że ktoś wchodzi na giełdę, szczególnie na początku, kiedy to się rozwija, albo wchodzi, kiedy (tak jak teraz było w 2020 w covidzie) wszystko jest nisko. Pojawia się dopływ ludzi, którzy słyszą, że teraz to jest ten moment, żeby wejść na giełdę, rodzą się jakieś pierwsze fortuny, ale też szybko ludzie nabierają przekonania, że bardzo dobrze decydują i nie wiedzą, kiedy przestać. Pamiętasz jakichś takich pojedynczych ludzi i ich emocje?

Tomasz Prusek: Znałem prywatnych inwestorów, którzy przechwalali się, że rządzą konkretnymi spółkami, czyli mieli tak dużą ekspozycję, tak dużo papierów danej spółki, że mogli wpływać na notowania. Czasem były to przechwałki, czasem nie. Pamiętam, że kiedyś jedna ze spółek farmaceutycznych sprzedawała nową emisję akcji i przyjechała na spotkanie z inwestorami indywidualnymi do Krakowa. I prezes zaczął mówić o tej emisji akcji, która była warta ileś tam milionów złotych, że szuka inwestorów i tak dalej. I w pewnym momencie wstał inwestor prywatny, duży, z Krakowa, który powiedział: „Panie prezesie, nich pan tak nie mówi o tym... ja mogę sam kupić tą pana całą emisję”. Czy to były przechwałki, czy nie...

Wydaje mi się, że byli inwestorzy prywatni, którzy dysponowali wówczas ogromnymi kapitałami, aczkolwiek...

Kamil Bałuk: Ale też zarobionymi już na giełdzie.

Tomasz Prusek: Zarobionymi już na giełdzie, ponieważ te wzrosty cen były gigantyczne.

Kamil Bałuk: To powiedzmy tylko: ktoś na przykład, taka przysłowiowa nauczycielka, jedną czwartą pensji sobie wydała i jeśli na przykład miałaby cierpliwości, żeby w '91 kupić ileś tam tej... znaczy tyle akcji, ile wtedy by mogła, to potem, po roku, dwóch, trzech, to były przebitki rzędu... dwa razy tyle, cztery razy tyle, dziesięć razy tyle?

Tomasz Prusek: Kilkanaście razy.

Kamil Bałuk: Kilkanaście razy.

Tomasz Prusek: Kilkanaście razy tyle. Były to przebitki, które naprawdę... mimo że wtedy mieliśmy wysoką inflację (pamiętajmy o tym), również jak obecnie, ale wtedy inflacja również była bardzo dokuczliwa, niemniej można było zarobić wielokrotnie więcej niż zainwestowany kapitał, co powodowało, że dla tych, którzy mieli umownego nosa do inwestowania, którzy potrafili mniej emocjonalnie, a może bardziej tak rozsądnie podchodzić do wyboru spółek, była to okazja do osiągnięcia ogromnych pieniędzy. Aczkolwiek mało kto w tej wielkiej gorączce giełdowej potrafił wyjść przed pierwszym krachem, z którym mieliśmy do czynienia w marcu '94 roku, który był szokiem dla tej rzeszy kilkuset tysięcy drobnych inwestorów. Wtedy rzeczywiście ludzie potracili ogromne pieniądze na giełdzie. Można powiedzieć, że wówczas pod raz pierwszy się na giełdzie sparzyli, ale nie wydarzyło się nic, co nie wydarzyłoby się wcześniej na innych giełdach, tak? To, że mamy okresy bessy i hossy, jest jakby wpisane w DNA giełdy, wpisane w DNA rynków kapitałowych. Czyli, mówiąc krótko, nasza giełda zachowała się normalnie, tak? Po okresie szaleńczej hossy musiało przyjść przesilenie spekulacyjne, kiedy okazało się, że ten balon spekulacyjny został już tak nadmuchany, że jedyne, co mogło się przytrafić, to po prostu jego pęknięcie.

Kamil Bałuk: Wytłumaczmy, czemu tak się dzieje (to popraw mnie, jeśli coś przeinaczę). Giełda jest sumą tych decyzji bardzo dużych graczy (często jakichś instytucjonalnych – dzisiaj fundusze odgrywają taką rolę) oraz pojedynczych ludzi. I w tych momentach, takich jak na przykład ostatnio covid, tych pojedynczych ludzi, którzy akurat mogą bardzo wyrócić cały rynek przez te swoje decyzje, często impulsywne, bez doświadczenia. Na tym bardzo często się te spekulacje opierają (to znaczy ktoś spekuluje, a inni mu wierzą), dlatego spółki mogą kosztować o wiele, wiele więcej, niż są warte, bo giełdowe powiedzenie: kupuj plotki, sprzedawaj fakty. Czyli to rośnie wtedy, kiedy jeszcze się coś nie stało, na przykład jakaś duża transakcja czy przejęcie, czy jakiś produkt. Po czym zwykle ci, którzy tracą, to są ci, którzy nie wiedzieli, jak to działa. To znaczy że jakiś na przykład duży gracz wychodzi powoli, odpowiednio wcześniej, zanim nastąpi ten krach, albo zanim jest sfinalizowanie tego, pod co wszyscy grają. I druga rzecz, że z kolei ci najwięksi gracze – oni wiedzą, że jak tylko jest coś takiego jak wojna, zmiana rządu, to trzeba powolutku wychodzić i wrócić, jak już się uspokoi. A oni jakoś zawsze są szybsi, tak?

Tomasz Prusek: Z reguły teraz są ci, którzy wchodzi tuż przed krachem, tuż przed przesileniem. Wtedy jest, nazwijmy to, taki szczyt hossy, kiedy pojawia się na rynku dużo niedoświadczonych inwestorów, którzy przynoszą swoje pieniądze z przekonaniem, że im też uda się zarobić. I rzeczywiście rok '94, początek lat 90., początek roku '94 to był taki moment, kiedy na giełdę napłynęła ogromna ilość oszczędności – od setek tysięcy polskich inwestorów indywidualnych. Wtedy inwestor indywidualny rządził na giełdzie. Nie było instytucji w zasadzie. Było tylko kilka instytucji finansowych, w tym pierwszy fundusz powierniczy...

Kamil Bałuk: Czyli rzesza nauczycieli, taksówkarzy i tak dalej jako masa tworzyła olbrzymią siłę wtedy nabywczą w giełdzie, tak?

Tomasz Prusek: Olbrzymią siłę, a z drugiej strony było mało akcji, ponieważ giełda warszawska cierpiała na brak emitentów. Z jednej strony mieliśmy ogromny kapitał, który nie potrafił znaleźć ujścia w akcjach. Ich było po prostu mało. Skoro ich było mało, no to musiał windować bardzo mocno ich ceny. W Warszawie mieliśmy odwrotną sytuację niż na przykład na giełdzie praskiej, która rozpoczęła swoją historię od kilkuset spółek tak zwanej czeskiej

kuponówki. To była taka... taki rodzaj bardzo nieudanej zresztą prywatyzacji. I okazało się po latach, że ten model polski, czyli prywatyzacje kapitałowe i spółek przez rząd, a z drugiej strony wchodzenia prywatnych spółek od zawsze na giełdę po to, żeby zdobyć kapitał, okazał się znacznie lepszym modelem. Rozmawiałem kiedyś z prezesem giełdy praskiej na ten temat. Powiedział, że: „Owszem, mieliśmy sześćset spółek na giełdzie w Pradze, ale część szefów tych spółek nawet nie wiedziała, że była notowana”. Natomiast ci, którzy byli na giełdzie w Warszawie, to oni doskonale wiedzieli, co robią, idąc na giełdę. Takim przełomowym momentem była prywatyzacja Banku Śląskiego na początku lat 90., która doprowadziła do takiego szczytu zainteresowania giełdą wówczas. Jesienią '93 roku sprzedano akcje po 500 tysięcy starych złotych za sztukę. Zapisano się 830 tysięcy inwestorów, a w zasadzie złożono tyle zapisów, ponieważ można było zbierać pełnomocnictwa i na tej podstawie składać zapisy. Pamiętam z akademika w Krakowie studentów, którzy chodzili po prostu po pokojach i zbierali pełnomocnictwa od swoich koleżanek i kolegów za jakąś umownie niewielką opłatą czy...

Kamil Bałuk: Bo wyjaśnijmy: jeśli za dużo osób jest chętnych na akcje, to redukuje się i każdy dostaje odpowiednio mniej. Więc warto by było mieć jeszcze inne osoby, które podbiją tę ilość głów, na które to jest dzielone, żeby w ten sposób więcej mieć, tak?

Tomasz Prusek: Tak było właśnie w ofercie publicznej Banku Śląskiego i tam rzeczywiście powstały takie ogromne fortuny tych, którzy mieli jakąś ogromną liczbę pełnomocnictw. Zarobienie wtedy umownego miliarda złotych starych, przed denominacją...

Kamil Bałuk: Czyli dzisiaj...?

Tomasz Prusek: Dzisiaj to chyba 100 tysięcy złotych, tak? Ale wtedy niewyobrażalne pieniądze zupełnie.

Kamil Bałuk: Oczywiście. To mieszkanie można było...

Tomasz Prusek: Tak. Pamiętam... kiedyś do mojego pokoju w akademiku wszedł... padł chłopak z szampanem w ręku (po prywatyzacji Banku Śląskiego) i krzyknął tylko do mnie:

„Zostałem miliarderem!”.

Kamil Bałuk: No tak, jeszcze przed denominacją to było łatwiejsze.

Tomasz Prusek: Przed denominacją to było znacznie łatwiejsze. Niemniej ta oferta Banku Śląskiego spowodowała ogromne zainteresowanie: 830 tysięcy zapisów do dzisiaj jest niepokonanym rekordem. Kiedy spółka weszła na giełdę, niestety doszło do dużego skandalu, ponieważ okazało się, że spółka nie była w stanie (czyli Bank Śląski) potwierdzić (dom maklerski Banku Śląskiego) tych świadectw depozytowych kilkuset tysięcy, więc potwierdzono niewiele. Podaż była niewielka, no i ta cena, która była ceną wyjściową: 6 milionów 750 tysięcy złotych była... policzmy szybko... chyba trzynastokrotną przebitką. Więc to pokazywało, jak ogromne pieniądze można było zarobić, jeżeli miało się dużo tych akcji Banku Śląskiego. Na ten skutek, że wcześniej dużo pełnomocnictw zebrało się, żeby złożyć zapisy, a później te akcje odkupić, ten moment wejścia Banku Śląskiego to jest taki moment przesilenia w '94 roku (to był styczeń). I potem jeszcze trochę hossy trwała – aż do takiego zupełnego pęknięcia. No i wtedy wielkie fortuny wyparowały w dużej mierze. Znam inwestorów prywatnych, którzy potracili wszystkie pieniądze, a wcześniej byli królami, tak? W swoich miastach.

Kamil Bałuk: Znaczący... królami. To też jest ciekawe, bo dopóki nie sprzedasz, to nie masz tych pieniędzy tak naprawdę, nie?

Tomasz Prusek: Dokładnie.

Kamil Bałuk: A nawet jak sprzedasz, to pokusa jest potem, żeby wejść.

Tomasz Prusek: Kiedy jest tylko zapis księgowy i widzisz, że te pieniądze są, ale zysk nie został zrealizowany – tak. To jest tylko wyłącznie zapis księgowy, który może być po prostu znacznie mniej warty za jakiś czas. Ale znam też takich, którzy sprzedali przed bessą, przed załamaniem na giełdzie i na przykład zainwestowali: jeden w hotel w Zakopanem, inny w jakąś firmę. Więc byli również tacy, bardzo nieliczni, którzy potrafili te emocje okiełznać. Pomyśleć, że skoro o giełdzie mówi się już, jadąc do pracy w tramwaju i kiedy przychodzi się

umownie do cioci na imieniny...

Kamil Bałuk: Ona gra.

Tomasz Prusek: I nie mówi się o polityce, o piłce nożnej, tylko mówi się o akcjach i obligacjach, no, to jest już sygnał, żeby z tego rynku istotnie się wycofać. A tak anegdotycznie również wielka fortuna Kennedych w Stanach Zjednoczonych rozpoczęła się od tego, że stary Joe Kennedy, który był nestorem rodu, był inwestorem na Wall Street i podobno (tak głosi legenda) wycofał się tuż przed krachem w '29 roku, ponieważ kiedy, jak co dzień, szedł na Wall Street, żeby handlować, postanowił skorzystać z usług pucybuta, który pucując mu buty, zaczął mówić, co dzisiaj zdrożeje. Wtedy Joe Kennedy pomyślał, że skoro już wszyscy mówią o giełdzie i wszyscy wiedzą, co się wydarzy jutro na giełdzie, to znaczy, że jest to ostatni moment, kiedy trzeba akcje sprzedać – póki są jeszcze chętni, aby je odkupić. I podobno wtedy Joe Kennedy sprzedał i wielka fortuna Kennedych się wtedy stworzyła. Prawdopodobnie jednak prawda jest o wiele bardziej banalna. Zarobili fortunę na przemyśle whisky z Kanady.

Kamil Bałuk: Potem obserwowaliśmy to, co w ostatnich latach się działo z kryptowalutami na przykład. To tak naprawdę coś, co miało być w oderwaniu od giełdy czymś nowym, to okazało się, że rządzi się tymi samymi mechanizmami. Kiedy nikt w to nie wierzy, to najlepiej wtedy wejść. Kiedy to się staje już takie, że wszyscy na ulicy o tym mówią, to zaraz się kończy i zostaje niesmak.

Tomasz Prusek: Jest takie powiedzenie na giełdzie bardzo trafne, że jeżeli chcesz zostać dobrym inwestorem giełdowym, który będzie zarabiał długoterminowo, najlepiej, gdybyś na pierwszej inwestycji stracił. Ponieważ kiedy na pierwszej inwestycji się zarobi, to wówczas jest takie poczucie wszechwładzy. Wszechmogący inwestor. Więc inwestuje się kolejne pieniądze, kolejne pieniądze i nie ma takiego mechanizmu, który mówi w pewnym momencie, tak jak przed krachem na przykład w roku '94 w marcu, stop, wycofaj się. Pierwsza porażka na samym starcie, pierwsza strata giełdowa, ona uczy tak naprawdę tego, że ryzyko giełdowe nie jest tylko czymś wyimaginowanym, ale jest czymś, co może naprawdę nastąpić i można z tego powodu stracić wszystko.

Kamil Bałuk: Kiedy sam się zacząłem interesować giełdą i jakoś tam chyba grać, niż inwestować – bym powiedział, to zobaczyłem, że to jest taki świat, który ma swój język. Nie tylko ten: instrumenty, dematerializacja i tak dalej, ale zobaczymy, czy też znasz te słowa i jakoś możesz wytłumaczyć. Na przykład: kto to są leszcze?

Tomasz Prusek: „Leszcze” to właśnie inwestorzy niedoświadczeni, żółtodzioby giełdowe. Ci, którzy przynoszą swoje pieniądze, nie wiedząc, że chcą spółkę, akcje kupić, akcje spółki „Irena”, tylko spółki „Barbara”, albo chcą kupić, nie daj Boże, Warszawski Indeks Giełdowy, nie wiedząc, że jest indeksem, a nie spółką. Więc to byli leszcze. Było bardziej pogardliwe jeszcze określenie giełdowych leszczy, z którym się spotykałem: fizole.

Kamil Bałuk: O.

Tomasz Prusek: Też funkcjonowało. Aczkolwiek było bardzo, bardzo obraźliwe i uważam, że nikt na takie określenie nie zasłużył. Natomiast leszcze istotnie jakby w przeciwieństwie do rekinów giełdowych, tak już posługując się porównaniami ze świata przyrody, „rekin giełdowy” to byli ci wielcy. Ci, których się naśladowało, ci, którzy wyznaczali trendy, którzy pokazywali, jakie spółki kupują. Kiedy na przykład przekraczali 5% na... w kapitale głosów, to wtedy musieli raportować i wtedy ci drobni leszcze mówili: „A... taki rekin, kupił ponad pięć procent akcji – znaczy, że ta spółka musi być dobra”. I wtedy te leszcze za tym rekinem w tym oceanie giełdowym gdzieś tam podążali.

Kamil Bałuk: A rekin się różni od grubasa, grubego tak zwanego?

Tomasz Prusek: „Gruby”, „grubas” to w zasadzie ktoś, kto ma duży wpływ na rynek z tego powodu, że ma za sobą duże kapitały. Najczęściej grubasem jest instytucja finansowa, natomiast rekinem raczej był inwestor indywidualny. Wróć do filmu „Wall Street” Oliviera Stone’a. Tam Gordon Gekko jest rekinem giełdowym, czyli jest tym wielkim, prywatnym inwestorem, który kupuje, sprzedaje, narzuca ton notowaniom spółek, które weźmie sobie na swój celownik. Natomiast grubasami są bardzo często wielkie banki inwestycyjne, które poprzez swoje decyzje potrafią zakreślić całym rynkiem. Zatem grubasem jest instytucja, a

rekinem jest raczej fizyczny inwestor.

Kamil Bałuk: A co to znaczy, że spekuła siadła na papierze?

Tomasz Prusek: „Spekuła”, czyli inwestorzy spekulacyjni, dla których nie ma większego znaczenia, czym się spółka zajmuje, ale widzą, że papier ma dużą zmienność cenową. I jest zainteresowany w tym, żeby rozpocząć taką grę spekulacyjną wokół akcji, wzbudzić zainteresowanie tymi akcjami wśród innych inwestorów i te papiery, które zostały na początku kupione po cichu, sprzedać znacznie drożej na szczycie – tym, którzy w tą taką grę spekulacyjną zostaną wciągnięci. Mieliśmy również spółki, które określano mianem cesarzy spekulacji.

Kamil Bałuk: Ale w sensie, że to aż tak źle, czy aż tak...

Tomasz Prusek: To były spółki, które cieszyły się ponadprzeciętnym zainteresowaniem spekuły. Takim cesarzem spekulacji był na przykład Universal – spółka słynna w Warszawie, w latach 80., 90., która zajmowała się bardzo wieloma obszarami działalności. Wprowadziła swoje akcje do obrotu i to były akcje, których cena jeździła jak winda w drapaczu chmur. Spekulanci ją uwielbiali, bo można było na niej i dużo zarobić, ale też dużo stracić. Więc spekuła często siadała na akcjach Universalu.

Kamil Bałuk: Spekulanci byli pod lupą komisji nadzoru? Czy samo – spekulacja – nie jest czymś zdrożnym?

Tomasz Prusek: Spekulacja jest czymś bardzo dobrym.

Kamil Bałuk: A! Aż tak!

Tomasz Prusek: Tak, my w Polsce mamy pojęcie spekulanta niestety jeszcze zakorzenione głęboko w mentalności PRL-u, pomimo przemiany pokoleniowej, której żeśmy doświadczyli. Że spekulant jest czymś złym. Na giełdzie spekulant jest dobry. Dlaczego jest dobry? Ponieważ zapewnia płynność obrotu.

Kamil Bałuk: Znaczący... dobrze, no dobrze...

Tomasz Prusek: Kupuje, sprzedaje. Doprowadza do tego, że mamy płynność. Że możemy kupić, możemy sprzedać. Zatem jestem bardzo daleki od tego, aby mówić o spekulantach źle. Źle można mówić tylko o tych spekulantach, którzy dopuszczają się działań bezprawnych.

Kamil Bałuk: Czyli?

Tomasz Prusek: Czyli na przykład manipulują kursem akcji. Umawiają się z innymi...

Kamil Bałuk: O, i tu mamy kolejny termin: spółdzielnia.

Tomasz Prusek: Spółdzielnia.

Kamil Bałuk: Spółdzielnia tu jest – tak na przykład się mówi. Co to znaczy, że spółdzielnia tu jest?

Tomasz Prusek: W latach 90. były popularne tak zwane spółdzielnie, czyli nieformalne grupy inwestorów, którzy w sposób nielegalny wpływali na zmiany kursów spółek. Mówiąc w dużym skrócie – często grali między sobą. Często zrywali się, żeby rzucić dużo kapitału na przykład na spółkę, która była taka uśpiona. Wtedy wszyscy zastanawiali się: oo... dlaczego ten kurs tak bardzo rośnie? Może warto podczepić się pod ten trend. Może warto też kupić te akcje? I spółdzielnia po tym, jak doprowadzała do wzrostu kursu akcji, ona na górze sprzedawała tym, których udało się wkręcić w ten wir spekulacyjny. Pojęcie spółdzielni rzeczywiście, lata 90., było bardzo często w takim żargonie giełdowym używane.

Kamil Bałuk: Do dzisiaj można znaleźć gdzieś na formach i tak dalej. Rozumiem, że najsprytniej działają ci, którzy faktycznie na realnych informacjach z firmy działają, czyli nie – po prostu, że rośnie kurs i ktoś bierze, dlatego że rośnie, tylko że wierzy w to, że fakty, które w spółce w ostatnim czasie zaistniały, mogą wytłumaczyć ten wzrost. A spółdzielnia wie dobrze, że ten wzrost jest o wiele większy, niż...

Tomasz Prusek: Motywacje zakupów akcji są różnorodne. Mogą być fundamentalne, o których powiedziałeś, czyli spółka ma dobre wyniki finansowe, spółka działa w branży przyszłościowej, jest dobrze zarządzana, płaci dywidendę, czyli odcina się od niej kupony, o których też rozmawialiśmy.

Kamil Bałuk: To są zwykle te stabilne spółki, te dla długofalowych inwestorów, a ja mówię o tych dla ludzi, którzy liczą, że w miesiąc podwoją swój wkład.

Tomasz Prusek: Jest też taka technika inwestycyjna, która polega na tym, że inwestorzy szukają spółek, na których na przykład nagle zwiększyła się płynność, czyli pojawiło się zainteresowanie. Albo gdzie w analizie technicznej, czyli w analizowaniu wykresów, czyli analizowaniu historii notowań danej spółki, dochodzą do wniosku, że spółka przekroczyła pewne poziomy cen, gdzie, jak to się mówi, *the sky is the limit*. Czyli może ktoś osiągnąć...

Kamil Bałuk: No to tutaj musimy wyjaśnić, że to jest analiza, która... chodzi o analizowanie tych wykresów i zobaczenie pewnych zależności, bo to zawsze potem, jak dużo wzrośnie, to musi być tak zwana korekta, że spadnie. I są ludzie, którzy uważają, że mogą dokładnie wyliczyć, kiedy to będzie. Powiedzmy sobie szczerze, że tak w 100% to to działa głównie co do przeszłości. I wtedy można zobaczyć to, a na przyszłość to różnie, bo jednak nieoczekiwane wydarzenia zawsze mogą odwrócić to, co wychodzi dziś z analizy.

Tomasz Prusek: Gdyby wszyscy się posługiwali doskonale analizą techniczną, to wszyscy mieliby tę samą wiedzę, więc rynek nie byłby tak nieprzewidywalny, jaki jest.

Kamil Bałuk: A to jest jego esencja.

Tomasz Prusek: A to jest jego esencja. Ta płynność rynku, te zwroty sytuacji w notowaniach – to jest kwintesencja tego rynku, ponieważ kiedy popatrzymy na rynki papierów wartościowych, na rynki kapitałowe, od wieków, tak naprawdę zmieniały się instrumenty, zmieniały się narzędzia. Kiedy zobaczymy, jak w wieku XVII w Holandii mieliśmy...

Kamil Bałuk: Gorączkę tulipanową.

Tomasz Prusek: Gorączkę tulipanową, czyli spekulowaną czym? Cebulkami tulipanów. Dzisiaj może nam to się wydawać absurdalne, że można było obracać cebulkami tulipanów, ale to wtedy był instrument finansowy.

Kamil Bałuk: Powiem ci więcej, bo akurat trafiłeś, z racji, że jestem niderlandystą, to znam tę historię. Więcej niż cebulkami. Tam był rodzaj takich shortów terminowych, bo spekulowano cebulkami, które były jeszcze w ziemi i nie było wiadomo, co z nich wyrośnie. I już wtedy tak, i też było śmiesznie, bo był taki krach kroczący, że... Ponieważ wszystko było dużo mniej skomunikowane, to te krachy tych giełd tulipanowych przez wiele, wiele dni się wydarzały po całej Holandii – nie od razu. No niesamowite! To można było podobno z pół kamienicy za taką najrzadszą cebulkę w którymś momencie kupić.

Tomasz Prusek: Można było kupić znacznie więcej niż pół kamienicy. Wtedy mieliśmy cebulki tulipanów, dzisiaj mamy akcje, obligacje futures, kontrakty terminowe, swapy *et cetera*. Zmieniły się instrumenty, narzędzia. Co pozostało wspólne? Emocje.

Kamil Bałuk: No właśnie o to chcę spytać. Bo ludzie myślą, że zarządzają pieniędzmi, myślą, że być może spełniają marzenia, zapewniają bezpieczeństwo swojej rodziny (co jest akurat najbardziej kontrowersyjnym w wypadku czegoś aż tak ryzykownego – kontrowersyjną motywacją). Ale kiedy to już się dzieje, kiedy po tych pierwszych tygodniach i miesiącach coś zyskali, coś stracili, to myślisz, że to jest rodzaj po prostu przywiązania do tej adrenaliny, które daje giełda?

Tomasz Prusek: Generalnie pieniądze, kiedy myślimy o pieniądzach, w naszym mózgu zajmują się tym ośrodki, które są bardzo blisko ośrodków, które zajmują się (umownie) seksem. Dlatego pieniądze – zarabianie pieniędzy, a także ich tracenie – wywołuje w nas ogromne emocje. Ta adrenalina to ta chęć pocucia tego mrowienia na plecach, kiedy kupuje się akcje, kiedy na nich się zarabia, ale także ten lęk, kiedy się traci. To jest...

Kamil Bałuk: Który też jest ekscytujący. Oczywiście negatywnie.

Tomasz Prusek: Który też jest ekscytujący.

Kamil Bałuk: Ale podobne pobudzenie to jest.

Tomasz Prusek: To powoduje, że często ludzie, którzy inwestują na rynku papierów wartościowych, nie mogą z niego odejść. To jest trochę jak narkotyki. To jest trochę jak coś, co wciąga. Nie sposób jest z tego zrezygnować. Oczywiście jak się zapyta inwestora – czy drobnego, czy większego, czy kieruje się emocjami w swoich decyzjach, każdy odpowie: nie.

Kamil Bałuk: Nie

Tomasz Prusek: Praktyka jest taka, że każdy mniej lub bardziej te emocje do tych swoich decyzji inwestycyjnych dopuszcza: czy zarządza swoim niewielkim budżetem domowym, czy zarządza miliardami złotych w funduszu inwestycyjnym. Znam zarówno inwestorów indywidualnych drobnych, bardzo drobnych, należących do tej grupy leszczy, jak i znam tych, którzy zarządzają w imieniu grubasów i zarządzają miliardami złotych, dolarów czy euro. Proszę mi wierzyć – emocje odgrywają ogromne znaczenie w ich decyzjach, chociaż oficjalnie oczywiście nikt się do tego nie będzie przyznawać.

Kamil Bałuk: No tak, bo... nawet profesjonaliści są znani z różnych temperamentów: że są fundusze agresywne, są fundusze właśnie takie bardziej stabilne.

Tomasz Prusek: Zobaczmy, co stało się, kiedy wybuchła epidemia, pandemia covidu. Ten gigantyczny spadek na giełdach całego świata. Spadek paniczny, tak? Tam... to były sesje, kiedy w grę wchodziły, można powiedzieć, wyłącznie emocje. Nie miało znaczenia, czy spółka jest lepsza, czy gorsza, czy płaci dywidendę, czy nie płaci dywidendy, czy szanuje swoich akcjonariuszy, czy ich nie szanuje. Wszystko w zasadzie, można powiedzieć, leciało na łeb na szyję. Z paroma wyjątkami oczywiście, ponieważ zawsze, nawet na najbardziej krwawiącym rynku, znajdują się takie spółki, które będą jednak szły wbrew trendowi. A w czasie covidu były to spółki zajmujące się biotechnologią, zajmujące się...

Kamil Bałuk: Maseczkami.

Tomasz Prusek: Maseczkami i winylowymi rękawiczkami. Zatem zawsze na giełdzie można zarobić, ponieważ nawet jeżeli jest krach, zawsze znajdzie się spółka, która będzie rosła wbrew trendowi.

Kamil Bałuk: Tak na koniec: czy ty stałeś się wtedy, już po paru latach, w latach 90., na tyle rozpoznawalnym ekspertem, powiedzmy, że ludzie w twoim otoczeniu cię pytali o radę giełdową i czy ty kiedykolwiek dzieliłeś się swoimi przemyśleniami co do tego, co warto, co nie warto?

Tomasz Prusek: Ponieważ byłem dziennikarzem finansowym, dziennikarzem giełdowym, nigdy nie udzielałem tego typu porad. Od tego są licencjonowani doradcy inwestycyjni, którzy mogą doradzać. Natomiast rzeczywiście istnieje taka przemożna ciekawość wśród ludzi: wśród znajomych, wśród rodziny, ale także w najmniej oczekiwanych sytuacjach. Bo kiedyś miałem kontakty na przykład z przedstawicielem (funkcjonariuszem) zajmującym się bezpieczeństwem publicznym, który po odpytaniu mnie o rzeczy bardzo poważne, na sam koniec zostawił sobie pytanie: „A co by w zasadzie warto teraz kupić?”. Więc ta przemożna ciekawość, która niestety pozostawała niezaspokojona przeze mnie, ona rzeczywiście funkcjonuje, ponieważ jest takie przekonanie, że są ludzie, którzy wiedzą więcej, są ludzie, którzy potrafiliby dobrze doradzić, dobrze podpowiedzieć. Ale ja to w tej sytuacji zawsze mówię, że tak mamy ułożony rynek, że idzie się wtedy do profesjonalnego doradcy inwestycyjnego, który powinien (i ma prawo) takich porad udzielać. Niemniej to poszukiwanie informacji, ten głód informacji – najlepiej takich, które są... będą żyłą złota – to jest jakby wpisane w DNA giełdy. Było kiedyś, jest obecnie i będzie w przyszłości.

Kamil Bałuk: Super. A do dzisiaj ta giełda jest dla ciebie jakąś taką pasją czy zainteresowaniem największym zawodowym?

Tomasz Prusek: Dłużej o giełdzie piszę, niż wcześniej żyłem, można powiedzieć. Więc dla mnie rynek kapitałowy i giełda jest czymś, co towarzyszy mojemu życiu. Byłem przy jej narodzinach w zasadzie, przy jej rozwoju, przy wzlotach i upadkach. Widziałem fortuny, które

się tworzyły, widziałem fortuny, które upadały. Poznałem dzięki giełdzie setki, w zasadzie mogę powiedzieć, że tysiące osób zajmujących się, zarządzających wielkimi pieniędzmi, ale także drobnych, którzy swoje pieniądze przynieśli, aby trochę na tej giełdzie zarobić. I jest to fascynujący świat, który staram się opisywać w moich artykułach, jak również w książkach, bo piszę powieści, które...

Kamil Bałuk: Dwie powieści właśnie wydałeś.

Tomasz Prusek: Dwie powieści, które dzieją się na rynku kapitałowym, dzieją się na giełdzie. Jedna z nich to *K.I.S.S.*, gdzie tłem jest kryzys finansowy w 2008 roku w Stanach Zjednoczonych. Pamiętny, wielkie emocje, wielki krach, wielka niewiadoma, co się wydarzy dalej. A druga książka – *P.I.I.G.S.* to z kolei tło kryzysu w strefie euro, groźba rozpadu strefy euro i wielkie, wielkie spekulacje giełdowe, wielkie emocje pod spodem. Zatem tą wiedzę, którą posiadam, staram się przekazywać, ponieważ rynek kapitałowy, giełda papierów wartościowych, jest to kwintesencja kapitalizmu. Nie znam żadnej rozwiniętej gospodarki, gdzie takiego rynku by nie było albo gdzie taki rynek mógłby funkcjonować źle, albo być po prostu traktowany jako piątek koło u wozu. I zależy mi bardzo, jak również całemu, myślę, środowisku rynku kapitałowego, aby ta giełda w Warszawie była giełdą jak najlepiej służącą za serce bijące dla polskiej gospodarki.

Kamil Bałuk: A jak ktoś ci powie czasem, że te zyski z giełdy to nie jest przecież za pracę, tylko samo się robi, to co mówisz?

Tomasz Prusek: To jest mniej więcej, jak z powiedzeniem, że rolnik śpi, a samo mu w polu rośnie.

Kamil Bałuk: O, proszę bardzo.

Tomasz Prusek: Tak naprawdę najczęściej za zyskami na giełdzie, jeżeli je się oczywiście... za sukcesami na giełdzie, jak się je odnosi, stoi ogromna praca. Szczęścia jest tam naprawdę niewiele. Więc ci, których znam, którzy doszli do dużych pieniędzy na rynku kapitałowym, okupili to dużą, organiczną pracą. Tak. Trzeba mieć zawsze trochę szczęścia.

Kamil Bałuk: I cierpliwości.

Tomasz Prusek: Niemniej nie może być tak, że liczy się wyłącznie na szczęście, bo wtedy po prostu najczęściej przegrywa się – czasami majątek życia.

Kamil Bałuk: Tomek Prusek. Tomasz Prusek. Dzięki wielkie! Kamil Bałuk dla Muzeum Warszawy – rozmawiamy o latach 90. w różnych odstępach.

Tomasz Prusek: Dziękuję państwu.

Porozmawialiśmy o latach 90., a teraz wy możecie zobaczyć je na wystawie. „Błysk, mat, kolor. Fotografia i Warszawa lat 90.” do 19 lutego w Muzeum Warszawy.